

II nagroda w konkursie literackim „TS”

Kalosz

TOMASZ
LASZKIEWICZ

Był sobie raz kalosz, zwykły, gumowy, przedwojenny kalosz. Miał nawet kiedyś symetrycznego brata kalosza. Błyszczał swoim lśniącem nosem, puszył się eleganckim sukniem wnętrza, radośnie szczyrzył drobne ząbki swojej czarnej kratkowanej podeszwy. Ot, taki sobie zwykły kalosz, powiedziałyby każdy, nie wyłączając zielono ubranego, z żelaznym garnkiem na głowie, żandarma niemieckiego legitymującego przechodniów na jednej z głównych ulic miasta.

Właściciel nowiutkich kaloszy zatrzymał się także koło patrolu, sięgnął po papiery i wtedy wypadł mu z niesionej pod pachą paczki kalosz. Nikt nawet nie zwrócił na to uwagi. Właściciel podał żandarmowi papiery, schylił się, podniósł kalosz i wsunął go z powrotem w paczkę obok takiego samego brata, kalosza.

Papiery były w porządku, dostatecznie „mocne”, więc mimo, że w pobliżu ziała zachęcająco mroczna, ożywiona tylko jasnymi plamami przerażonych twarzy otchłan „budy”, nasz właściciel kaloszy schował starannie portfel i pomaszzerował przed frontem najeżonych „rozpylaczami” żandarmów. Jedna ulica, zakręt w prawo — tu już spokojnie, przechodnie, handlarze — normalne życie ostatniego roku okupacji.

Szybko stukają kroki w półmroku bramy, brudnoszare podwórko, sień, ciemne schody z kuchennymi zapachami kapusty, trzeszczą wydeptane deski pod krokami. Jedno piętro, drugie piętro i obdrapane, znajome drzwi w mroku klatki schodowej. Kalosze z właścicielem znikły w głębi.

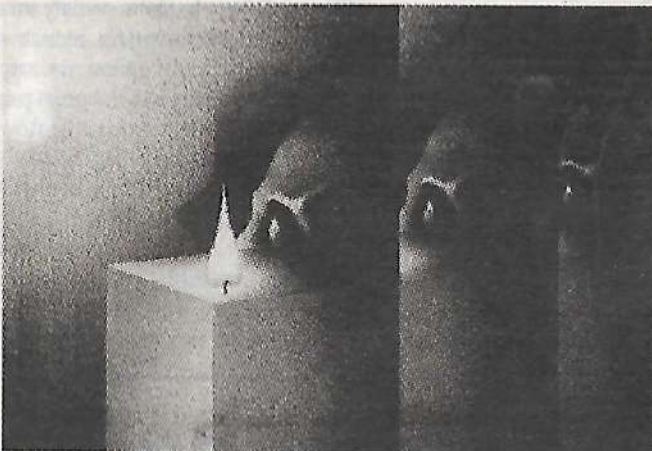
Po dłuższej chwili na schodach ukazał się jasnowłosy chłopak z paczką kaloszy troskliwie prowadzący staruszkę. Rześko, nawet nerwowo przeszli schody i staruszek prowadzony pod rękę przez chłopaka pokuszył się powoli ulicą.

Ewentualnych wścibskich zde gustowałby zapewne fakt, że staruszek mrugnął szelmowsko, z uśmiechem do przechodzącej obok, wolnym kroczkiem dziewczęcy z gustownym bukietem wczesnych kwiatów. Nie dostrzegła chyba tego, bo wyraźnie zdenerwowana, z trzęsącymi się rękami szła nadal w tym co i oni kierunku.

Późnowiosenne słońce przygrzewało nieźle, gorą nad dachami przemknął z jękiem samolot myśliwski z czarnymi krzyżami. Ruch na ulicy nie znamionował nic złego.

Na jednej z bocznych ulic, przed elegancką kawiarnią z ostrzegawczym napisem „Nur für Deutsche”, stał rozłożysty samochód ze złowróżbnymi literami POL na numerze. Koło niego stało w kopulastych hełmach dwóch żandarmów z pistoletami maszynowymi na pasach. Rozmawiali z rozwalonym w samochodzie szoferem. Ich zdrowe gęby aż śmiały się do słońca. Chodnikiem obok nich przeszedł szybko, ze strachem jakiś przechodzień z teczką, a po drugiej stronie ulicy kuśtykał wolno i niezdarne nasz staruszek prowadzony przez chłopca z kaloszami.

Wtem otworzyły się drzwi kawiarni i ukazał się wyniosły oficer z trupią czaszką na czapie i elegancki cywil o niedbałych ruchach. Żandarmi sprężyli się służbiście. Dostojni panowie zajęli miejsca. Samochód powoli ruszył, a żandarmi odwrócili się i ze znudzonymi minami ruszyli w drugą stronę, i wtedy



rys. GRZEGORZ STAŃCZYK

powietrzem targnął straszny huk. Gdzieś z brzękiem posypały się szyby. Na miejscu samochodu kłębił się siny grzyb dymu z nikłymi przebłyskami ognia, a po chodniku biegli dwaj ludzie: rześki już „staruszek” w rozwianym płaszczu i jasnowłosy chłopak. Żandarmii zbierali się spod ściany, gdzie rzucił ich podmuch wybuchu i schyleni zrywali swoje pistolety. Przez otwarte drzwi z rozbitą szybą kawiarni wysypywał się tłum w różnych odcieniach mundurów, nerwowo wyrwywając pistolety z kabur. Z bocznej ulicy biegł jakiś żołnierz z pistoletem w rękę i zabiegał „staruszkowi” drogę, ale nagle, z boku,

z bramy wyleciał znany, gustowny, bukiet kwiatów i syjący płatkami dotknął chodnika przed żołnierzem, błyskając nową detonacją i kłębem śmierdzącego dymu konspiracyjnej „filipińki”. Żołnierz miękko padł w dym i tylko po jezdni poleciał z trzaskiem jego pistolet.

Żandarmi pruli już łomotami serii za uciekającymi. Od strony drzwi kawiarni trzaskała bezładna strzelanina, a uciekający dobiegali do rogu ulicy. Tynk ze ścian domu koło nich kurzył bezładnym ściegiem kul — chłopiec potknął się, zawadził o ścianę, chciał się jeszcze podnieść, ale ubranie na nim targnęło się od nowych, już celniejszych serii i znieruchomiał płasko ciemną bryłą. W zaciśniętej ręce tylko jeszcze tkwił kalosz.

„Staruszek” dobiegł już rogu i zniknął za zakrętem opustoszałej ulicy. W samą porę, bo z drugiej strony wysypywały się już nowe, zielone mundury. Tuuu tu, tuuu tu — pędzi buda pełna nowych mundurów i luf...

Na środku ulicy dymił jeszcze wrak limuzyny. Wierzch cały zerwany wybuchem. W środku pośród pogiętych, dymiących blach, szkła i obić, czerwieni się krew. Żołnierze wyciągają rozmamlane ciała... oficer... cywil... bezwładnie kołyszają się lśniące buty... jasno błyska podgolona po junkiersku głowa. Kierowcy z przodu w ogóle nie można wyciągnąć, jest wgnieciony w kłębówisko blach, kierownicy i szkła.

Wokół trzeszczy szkło. Składają na chodniku pocerniałe od wybuchu zwłoki. Mundury i cywile jeszcze z pistoletami w rękę biegną w podnieceniu i wrzeszczą swoje wrażenia i uwagi. Z boku przy trupie zamachowca ostrożne ręce wyjmują z ręki kalosz — ach tu jest granat! — Wyciągają upchaną gazetą konspiracyjną „kutscheruwę” — w kieszeniach dokumentów nie ma — bilet tramwajowy, szczyryk...

Długo jeszcze trwa krzyk i bieranina. Pośpiesznie zabierają swoje trupy, zajeżdżają samochody, fotografują, obstawiają tajniakami beznadziejną obserwację miejsca — może ktoś przyjdzie po trupa?

Daleko gdzieś, w narastającym mroku wieczoru, porażone przyniesioną już wieścią, tężeją czyjeś twarze, a zbielełe wargi zaczynają szeptać pierwsze „Wieczne odpoczywanie...”, i pierwsze na długie lata lży torują sobie drogę do Wieczności...

Na chodniku opustoszałej ulicy, w nadchodzącym mroku zbliżającej się godziny policyjnej, ciemnieje nieruchoma plama z pokrzywionymi zdartymi butami i jaśniejącą czupryną, którą lekko porusza wiatr...

Obok, niepotrzebnie jak uragowisko, błyszczy się przedwojenny kalosz. Drugiego nie ma — wyparował, rozleciał się w śmiertelnym wybuchu. Ten już, pozbawiony śmiertelności zawartości, nikomu nie jest potrzebny. Taki sobie bez pary kalosz.